Classics To Go

PRZEKLĘTY DOM

THE SHUNNED HOUSE

H. P. Lovecraft

H.P. LOVECRAFT

PRZEKLĘTY DOM

(THE SHUNNED HOUSE)

THE SHUNNED HOUSE

HOWARD PHILLIPS LOVECRAFT

PRZEKLĘTY DOM

Nawet najgorszym koszmarom towarzyszy zwykle odrobina ironii. Czasem łączy się ona bezpośrednio z tokiem wydarzeń, niekiedy wiąże się tylko z przypadkowością dotyczącą postaci i wypadków. Doskonały przykład drugiej ze wspomnianych odmian ironii stanowi wydarzenie, do którego doszło w starym mieście Providence, gdzie w końcu lat czterdziestych przebywał często Edgar Allan Poe, smaląc cholewki, bez powodzenia zresztą, do utalentowanej poetki, pani Whitman. Poe zatrzymywał się zwykle w Mansion House przy Benefit Street, dawnym Golden Bali Inn, pod dachem którego gościli Washington, Jefferson i Lafayette. Najbardziej zaś lubił wybierać się na przechadzkę na północ, wzdłuż tejże samej ulicy, do domu pani Whitman i na cmentarz w pobliżu stojącego na wzgórzu kościoła św. Jana Apostoła, gdzie niektóre spośród starych, osiemnastowiecznych grobów o zmurszałych, na wpół widocznych płytach przepełniały go szczególną fascynacją.

A oto ironia. W czasie swych spacerów ów największy na świecie mistrz opowieści z dreszczykiem zmuszony był wielokrotnie mijać pewien wyjątkowy dom stojący po wschodniej stronie ulicy – obskurny, stary budynek zbudowany na niewielkim wzniesieniu, z wielkim, zaniedbanym podwórzem pochodzącym z czasów, gdy okolica ta nie była jeszcze gęsto zabudowana. Nic nie wskazuje, by kiedykolwiek pisał lub wspominał o tym domu, nie istnieje żaden dowód, że w ogóle zwrócił nań uwagę. A mimo to dom ów dla dwóch osób dysponujących pewnymi informacjami dorównuje lub wręcz przewyższa pod względem potworności najwymyślniejsze

spośród upiornych fantazji geniusza, który tak często mijał go nieświadomie, i pozostaje w tym samym miejscu jako mroczny symbol wszystkiego, co plugawe, potworne i złowrogie.

Dom ten był – i jest po dziś dzień jedną z tych budowli, które przykuwają uwagę ciekawskich. Zbudowany jako farma, lub raczej półfarma, jest przykładem typowego nowoangielskiego stylu kolonialnego osiemnastego stulecia – potężny, spadzisty dach, pięterko, poddasze bez mansardy, georgiańskie wejście i wnętrze wyłożone modną na owe czasy boazerią. Był skierowany na południe, z jednym szczytem od wschodu, po niższe okna przesłonięty pagórkiem, z drugiej zaś strony od ulicy odsłonięty aż po fundamenty. Jego kształt sprzed ponad półtora wieku zmieniał się przez lata, w miarę jak prostowano i wyrównywano ciągnącą się opodal drogę – Benefit Street bowiem, zwana z początku Back Street, była najpierw aleją wijącą się pośród grobów pierwszych osadników, a prosto jak strzelił pobiegła, dopiero gdy ciała przeniesiono na cmentarz North Burial Ground. Początkowo zachodnia ściana znajdowała się dwadzieścia stóp od drogi, oddzielona od niej połową trawnika. Kiedy jednak w czasie rewolucji ulicę poszerzono, zajmując zielony pas graniczny, odsłonięciu uległy fundamenty budowli, wskutek czego należało wybudować ceglany mur podpiwniczenia i poszerzyć piwnice wzdłuż całego frontu domu. Drzwi i podwójne okna były odtąd skierowane ku nowej arterii komunikacyjnej. Gdy sto lat temu wyłożono chodnik, zajęty został ostatni pas szerokiego ongiś trawnika. Poe podczas swych spacerów musiał widzieć tylko wznoszący się przed nim matowy, szary mur domu zlewający się z popielatym chodnikiem – na wysokości dziesięciu stóp znikający pod brudnymi gontami starego, spadzistego dachu.

Na tyłach budynku rozciągały się sięgające niemal do Wheaton Street za pagórkiem tereny gospodarskie. Obszar od południa wychodzący na Benefit Street znajdował się, rzecz jasna, sporo powyżej chodnika, tworząc taras

okolony wysokim murkiem z wilgotnych, omszałych kamieni, w którym tu i ówdzie dobudowano strome, wąskie, kamienne schodki wiodące, niby w głąb wąwozu, ku górnemu poziomowi zapuszczonego trawnika, murszejącym ceglanym ścianom i zaniedbanemu ogrodowi, gdzie zdekompletowane cementowe urny, zardzewiałe kociołki, które spadły z drewnianych, gruzłowatych trójnogów, i tym podobne parafernalia strzegły dostępu do skołatanych przez burze frontowych drzwi z wybitym półkolistym okienkiem u szczytu, przeżartymi przez grzyb jońskimi kolumnami i murszejącym trójkątnym frontonem. W młodości cała moja wiedza o przeklętym domu zawierała się w informacji, iż umarło tam niewiarygodnie wiele osób. Właśnie dlatego, jak mi wyjaśniono, pierwsi właściciele wyprowadzili się jakieś dwadzieścia lat po zbudowaniu tego budynku. Był on zwyczajnie niezdrowy, możliwe, że z powodu wilgoci i grzyba w piwnicy, nieprzyjemnej woni, którą czuło się we wszystkich pomieszczeniach, przeciągów w korytarzach lub jakości wody, zarówno tej bieżącej, jak i ze studni. Wszystko to dawało dość paskudny obraz tego miejsca, jedyny skądinąd, jaki uzyskałem od znanych mi osób. Dopiero notatniki mego stryja, antykwariusza, doktora Elihu Whipple’a ujawniły mi w końcu mroczniejsze, niejasne przypuszczenia krążące w postaci zabobonów i guseł wśród starej służby i prostego, wieśniaczego ludu, plotki i podejrzenia o niewielkim w sumie zasięgu, które w większości zostały zapomniane, w miarę jak Providence stało się metropolią o jakże zmiennej, współczesnej populacji.

Faktem jest, iż większa część owej społeczności nigdy nie uważała owego domu za „nawiedzony” w pełnym tego słowa znaczeniu. Nie rozsiewano plotek o mglistych postaciach pobrzękujących smutno łańcuchami, dziwnych podmuchach zimnego powietrza, gasnących światłach czy twarzach pokazujących się w którymś z okien. Bywali wszelako tacy, którzy uważali ten dom za „pechowy”, ale nigdy nie

wyjaśniali dlaczego. Jedyne, co nie podlegało dyskusji, to pokaźna liczba osób, które tam umarły, i należy wspomnieć o tym w czasie przeszłym, gdyż jakimś szczególnym zbiegiem okoliczności od ponad sześćdziesięciu lat budynek stał pusty, nie znalazł się bowiem chętny, który by w nim zamieszkał. Dawni mieszkańcy owej posesji nie pogasnęli jak świece, złożeni do grobu jedną i tą samą przyczyną, raczej rzec by należało, iż z dnia na dzień coraz bardziej tracili swą witalność, by ostatecznie zejść z tego świata wskutek odmiennych, typowych dla każdego z nich przypadłości. Ci zaś, co nie pomarli, cierpieli na rozmaite odmiany anemii, gruźlicy i innych wyniszczających chorób, a niektórzy wykazywali także objawy poważniejszych zaburzeń psychicznych – tak czy inaczej, wszystkie te wypadki nie świadczyły najlepiej o budynku i jego wpływie na lokatorów. Dodać przy tym należy, iż okoliczne domy wydawały się pozbawione tak złowrogiego wpływu na ludzi.

To wszystko, co wiedziałem, zanim wskutek natrętnego wypytywania stryj nie pokazał był mi notatek, które ostatecznie skłoniły nas do przeprowadzenia dogłębniejszego dochodzenia. W czasach mego dzieciństwa przeklęty dom był opuszczony, wokół stały nagie, poskręcane i przerażające stare drzewa, rosła długa, niezwykle blada trawa, na wysokim tarasie zaś, gdzie nigdy nie przesiadywały ptaki, płożyły się chwasty. My, chłopcy, często odwiedzaliśmy to miejsce i wciąż pamiętam grozę, jaką wówczas odczuwałem, lęk wywołany nie tylko upiorną obcością tej złowrogiej roślinności, lecz również posępną atmosferą i nieprzyjemnym odorem panującym wewnątrz wymarłego domu, którego nie zamknięte na zasuwę drzwi frontowe często przekraczaliśmy, spragnieni przygody i dreszczyku zakazanych emocji. Okienka o małych szybkach były w większości wytłuczone, w pomieszczeniach panowała niewytłumaczalna atmosfera samotności i opuszczenia, którą podkreślały jeszcze popękana boazeria na ścianach, smutne, zwisające ukośnie w zawiasach okiennice,

odłażące ze ścian tapety, odpadający tynk, rozchwierutane schody i pozostałości świetnych ongiś, a teraz żałośnie zdezelowanych mebli. Kurz i pajęczyny sprawiały, iż wygląd wnętrz wydawał się jeszcze bardziej złowrogi i zatrważający, za bohatera zaś uchodził chłopak, który odważył się wspiąć po drabinie na poddasze – ciągnące się wzdłuż frontu budynku pomieszczenie z małymi półokrągłymi świetlikami w głównej ścianie, zagracone przechowywanymi tam niezliczonymi kuframi, krzesłami i kołowrotkami, które ozdobione nagromadzonymi przez lata pajęczynami i kurzem, nabierały zaiste diabelskich i potwornych kształtów. Nie poddasze jednak było najbardziej przerażającym miejscem w tym domu. Była nim wilgotna, cuchnąca pleśnią piwnica, która nie wiadomo czemu, wzbudzała w nas największą odrazę, mimo iż od strony ulicy znajdowała się w całości nad ziemią, i od chodnika, po którym spacerowali przechodnie, dzieliły ją tylko cienkie drzwi i ceglany mur z wąskim okienkiem. W gruncie rzeczy nie bardzo wiedzieliśmy, czy odwiedzać ją w nadziei na odrobinę mocniejsze przeżycia, czy unikać, z obawy o nasze dusze i zdrowe zmysły. Po pierwsze, nieprzyjemny odór rozchodzący się po domu był tam najsilniejszy, po wtóre zaś, nie podobały się nam białe grzybiaste narośla, które niekiedy, zwłaszcza w deszczowe lata, wschodziły z twardego ubitego klepiska. Grzyby te, równie groteskowe jak roślinność na podwórzu, miały doprawdy odrażające kształty, wyglądały niczym parodie muchomorów i szatanów niepodobnych do żadnych innych, jakie kiedykolwiek mieliśmy okazję oglądać. Błyskawicznie gniły, a w pewnym stadium emanowały lekką fosforescencją, przeto wielu naocznych przechodniów mijających ów dom mówiło o błędnych ognikach gorejących w przesyconych odrażającym odorem pomieszczeniach z wytłuczonymi szybami.

Co do nas, nigdy, nawet w wigilię Wszystkich Świętych, kiedy nastroje mieliśmy najbardziej bojowe, nie odważyliśmy się odwiedzić tej piwnicy nocą, byliśmy bowiem świadkami owego osobliwego świecenia, nawet za

dnia, zwłaszcza gdy było dżdżysto i pochmurno. Często wydawało się nam również, iż dostrzegamy coś subtelniejszego. Było to doprawdy nader niezwykłe, sugestia ledwie. Mam na myśli coś w rodzaju białawego śladu, jakby mgiełki na ubitym ziemistym podłożu – słabo widoczna, ulotna pozostałość pleśni lub saletry, którą, jak się nam zdawało, dostrzegaliśmy wśród rzadkich grzybiastych narośli w pobliżu ogromnego kominka w piwnicznej kuchni. Od czasu do czasu odnosiliśmy wrażenie, iż plama ta w dość upiorny sposób przypomina zgiętą wpół postać ludzką, choć podobieństwa zasadniczo nie było i często nie było widać również białego nalotu. Pewnego dżdżystego popołudnia, gdy iluzja owa wydała mi się wyjątkowo silna i gdy na dodatek odniosłem wrażenie, iż dostrzegam coś w rodzaju cienkich, żółtych, falujących nitek siarczanego dymu, wznoszących się z saletrowego spłachcia ku ziejącej czeluści kominka, opowiedziałem o tym stryjowi. Uśmiechnął się, słysząc moje słowa, lecz dostrzegłem w skrzywieniu jego ust grymas dziwnego wspomnienia. Później dowiedziałem się, że podobna wzmianka stanowi element jednego z mrocznych ludowych podań, legend opowiadających o upiornych, wilczych kształtach tworzących się z dymu z wielkiego kominka i dziwacznych konturach przyjmowanych przez pewne poskręcane korzenie drzew, które wdarły się do wnętrza piwnicy pomiędzy obluzowanymi cegłami fundamentów.

Dopiero gdy stałem się dorosłym mężczyzną, stryj pokazał mi notatki i informacje, jakie zebrał na temat wymarłego domu. Doktor Whipple był rozsądnym, konserwatywnym lekarzem, ze starej szkoły, i pomimo swych zainteresowań dość niechętnie kierował swe myśli ku sprawom paranormalnym, którymi pasjonował się w młodości. Jego punkt widzenia, zasadzający się na teorii niezdrowej atmosfery domu wynikłej z

niewłaściwej lokalizacji budynku, nie miał nic wspólnego ze zjawiskami nadprzyrodzonymi. Zdawał sobie wszelako sprawę, że obrazowość zdarzeń, która ożywiła w nim owo zainteresowanie, mogłaby przyjąć w umyśle młodego chłopaka formę najbardziej fantastycznych i przerażających przypuszczeń.

Doktor był kawalerem, siwowłosym, gładko ogolonym, staroświeckim dżentelmenem i znanym lokalnym historykiem, który często kruszył kopie z tak kontrowersyjnymi strażnikami miejscowych tradycji, jak Sidney S. Rider i Thomas W. Bicknell. Mieszkał z jednym tylko służącym w georgiańskiej posesji z kołatką na drzwiach i barierkami przy schodach, przycupniętej na szczycie stromo wznoszącej się North Court Street, opodal starego, ceglanego gmachu sądu kolonialnego, gdzie jego ojciec, kuzyn sławnego korsarza, kapitana Whipple'a, który spalił w 1772 roku bojowy szkuner JKM, czwartego maja 1776 roku brał udział w głosowaniu za uznaniem niepodległości kolonii Rhode Island. Wokoło, w cuchnącej wilgocią bibliotece o niskim stropie, ścianach wyłożonych spleśniałą jasną boazerią i maleńkich, zasnutych winoroślą okienkach znajdowały się pamiątki i kroniki jego rodu, wśród których można było znaleźć liczne, dwuznaczne aluzje dotyczące wymarłego domu przy Benefit Street. To przeklęte miejsce znajduje się niedaleko stąd, ulica Benefit bowiem ciągnie się tuż powyżej gmachu sądu, wzdłuż stromego zbocza, na którym pobudowano pierwsze w tej okolicy domy.

Kiedy po długich staraniach i przekonywaniach namówiłem mego stryja, by podzielił się ze mną wiedzą, której pożądałem, ujrzałem przed sobą dość osobliwą kronikę. Rozwlekła, pełna danych, opisująca aż nadto dokładnie wszelkie genealogiczne niuanse rodu, nieodmiennie snuła jednak nić upiornego, pozostającego w cieniu koszmaru i pierwotnego zła, które wywarło na mnie dużo silniejszy wpływ aniżeli na dobrego doktora. Odrębne wypadki zdawały się pasować do siebie nawzajem, aczkolwiek w

dość charakterystyczny sposób, a z pozoru banalne szczegóły w mym odczuciu rodziły całkiem odrażające przypuszczenia. Zaczęła we mnie kiełkować nie zaspokojona ciekawość, w porównaniu z którą me dziecięce doznania zdawały się błahe i irracjonalne. Pierwsze objawienie zaowocowało badaniami, a w końcu ową mrożącą krew w żyłach wyprawą, która okazała się zgubna w skutkach. Któregoś dnia bowiem mój stryj jął nalegać, by mógł towarzyszyć mi w dochodzeniu, jakie prowadziłem, i wybraliśmy się razem do przeklętego domu, by spędzić tam noc. Wróciłem stamtąd już bez niego.

Brak mi tego łagodnego, pogodnego człowieka, którego żywot nacechowany był takimi przymiotami, jak honor, prawość, dobry smak, łagodność i uczoność. By uczcić jego pamięć, pobudowałem marmurową urnę na cmentarzu przy kościele św. Jana – w miejscu tak uwielbianym przez Poego, na wzgórzu, wśród potężnych wierzb, gdzie krypty i kamienne nagrobki tłoczyły się w wiekuistej ciszy pomiędzy ogromnym masywem kościoła a domami stojącymi wzdłuż Benefit Street.

Historia tego domu, jawna i wyrazista pośród labiryntu dat, nie zawierała żadnych złowrogich szczegółów, zarówno jeżeli chodzi o jego powstanie, jak i zamożną i cieszącą się poważaniem rodzinę, która go zbudowała. Mimo to nietrudno było wychwycić pierwsze mroczne sygnały, które już niebawem przerodzą się w posępną rzeczywistość. Starannie prowadzone zapiski mego stryja zaczynały się od wzniesienia owej budowli w roku 1763 i szczegółowo opisywały związane z nią wypadki. Wymarły dom zamieszkiwali z początku, jak się wydaje, William Harris i jego żona, Rhoby Dexter, oraz ich dzieci – Elkanah, ur. w 1755, Abigail, ur. w 1757, William jun., ur. w 1759 i Ruth, ur. w 1761 roku. Harris był kupcem pływającym szlakami handlowymi do Indii Zachodnich i związanym z firmą Obadiaha Browna i jego bratanków. Po śmierci Browna, w 1761 roku, szef nowej firmy Nicholas Brown i s–ka uczynił go szyprem brygu „Prudence”

zwodowanego w Providence 120–tonowca, a tym samym dał szansę wybudowania nowego domu dla jego rodziny. O takim domu Harris marzył od dnia zawarcia małżeństwa.

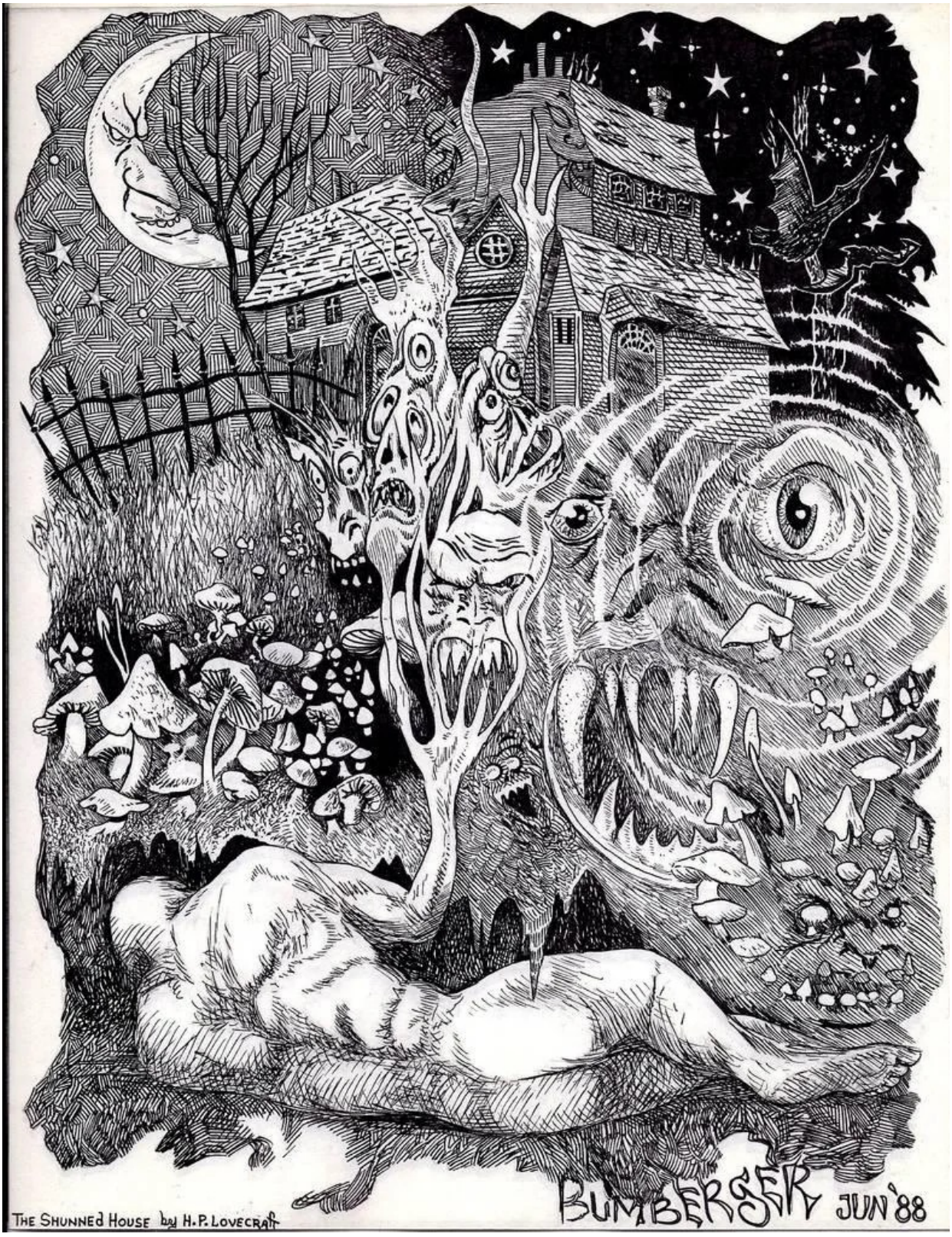
THE SHUNNED HOUSE by H.P. LOVECRAFT
BUMBERSER JUN '88

Miejsce zostało wybrane – fragment niedawno wyrównanej, nowej i modnej Back Street, ciągnący się wzdłuż zbocza wzgórza nad zatłoczonym Cheapside – było to wszystko, o czym mógł zamarzyć, a budynek jak najbardziej pasował do otoczenia – był wytworny, ale gustowny, Harris pragnął wprowadzić się do niego przed narodzinami piątego dziecka, którego się spodziewali. Dziecko to, chłopiec, przyszło na świat w grudniu, lecz narodziło się martwe. Przez półtora wieku w domu tym ani jedno dziecko nie urodziło się żywe. W kwietniu następnego roku dzieci zaczęły chorować, nim minął miesiąc Abigail i Ruth zmarły. Doktor Job Ives zdiagnozował chorobę jako wyjątkowo groźną dziecięcą gorączkę, choć inni upierali się, że w grę wchodziło coś więcej aniżeli zwyczajne suchoty czy wycieńczenie organizmu. Tak czy inaczej, choroba okazała się zaraźliwa, Hannah Bowen bowiem, jedna z dwójki służących, zmarła na tę samą dolegliwość w czerwcu. Eli Lideason, drugi służący, stale uskarżał się na ogólne osłabienie. Zapewne wróciłby w rodzinne strony, na farmę swego ojca, gdyby nie zadurzył się w Mehitabel Pierce, którą wynajęto po śmierci Hannah. Zmarł w roku następnym, który był wyjątkowo smutny, wtedy bowiem odszedł również sam William Harris, osłabiony klimatem Martyniki, gdzie często mieszkał i pracował w ostatnim dziesięcioleciu.

Wdowa, Rhoby Harris, nigdy już nie doszła do siebie po śmierci małżonka, a zgon pierworodnego Elkanaha, dwa lata później, okazał się ostatecznym ciosem dla jej zdrowych zmysłów. W 1768 roku popadła w lekki obłęd i od tej pory przebywała stale w zamknięciu, w górnej części domu. Jej starsza siostra, Mercy Dexter, wprowadziła się do domu, by przejąć opiekę nad rodziną. Była to prosta, silna i twarda z natury kobieta, lecz odkąd przestąpiła próg feralnego budynku, zaczęła z wolna podupadać na zdrowiu. Cechowało ją niezwykłe wręcz oddanie nieszczęsnej siostrze; wielkim uczuciem darzyła również jedynego pozostałego przy życiu siostrzeńca, Williama, który z silnego dziecka wyrósł na słabowitego,

niedomagającego młodzieńca. W roku śmierci Mehitabel odszedł również służący Preserved Smith, nie podając żadnego konkretnego powodu swej decyzji, a jedynie mgliste sugestie poparte tezą, jakoby nie podobał mu się unoszący się w całym domu dziwny zapach. Przez pewien czas Mercy nie była w stanie zatrudnić do pomocy żadnej służby, gdyż siedem zgonów i przypadek utraty zmysłów w ciągu niespełna pięciu lat wywołały lawinę plotek, które z czasem nabiorą nader osobliwego, mrocznego charakteru. W końcu jednak zatrudniła nowych służących spoza miasta, Ann White, smętną kobietę z tej części North Kingstown, która teraz stanowi odrębne miasto Exeter, i bystrego mężczyznę z Bostonu nazwiskiem Zenas Low.

To Ann White pierwsza skonkretyzowała posępne, przerażające plotki. Mercy nie powinna była wynajmować do służby nikogo z okręgu Szubienicznego Wzgórza, rejon ten bowiem był i pozostaje do dziś siedzibą najbardziej niewyobrażalnych, mrożących krew w żyłach przesądów i zabobonów. Jeszcze niedawno, bo w roku 1892, ludzie z Exeter odkopali zwłoki i ceremonialnie spalili serce trupa, aby zapobiec kolejnym nawiedzeniom, które mogły okazać się szkodliwe dla ludzkiego zdrowia i ogólnego spokoju wspólnoty. Można się tylko domyślać, że ich punkt widzenia nie zmienił się zbytnio od połowy osiemnastego wieku. Ann nie umiała trzymać języka za zębami, toteż po kilku miesiącach Mercy zwolniła ją, na jej miejsce zaś zatrudniła wierną i przyjacielską amazonkę z Newport – Marię Robbins.

Tymczasem nieszczęsna Rhoby Harris, trawiona obłędem, jęła opowiadać w głos o swych koszmarach i niepojętych, a przeraźliwych imaginacjach. Wreszcie wrzaski jej stały się nie do zniesienia, zmieniły się w długotrwałe tyrady okropieństw i plugawych wymysłów, co sprawiło, że jej syn zmuszony był zamieszkać tymczasowo u swego kuzyna, Pelega Harrisa, w nowym gmachu college’u przy Presbiterian Lane. Po tych wizytach zdrowie

chłopca nieco się poprawiło, a Mercy, mając na uwadze jego dobro, pozwoliła mu zamieszkać u Pelega na stałe.

W tym też okresie napady szaleństwa u pani Harris przybrały jeszcze na sile, treść zaś jej wrzasków pozostaje niejasna, a raczej do tego stopnia niesamowita, że nie sposób traktować jej inaczej aniżeli jako stek bzdur zrodzonych w umyśle szaleńca. Niewątpliwie brzmi absurdalnie, gdy mówi się, że kobieta znająca tylko pobieżnie francuski całymi godzinami wywrzaskiwała ochryple zdania w slangowej odmianie tego języka lub że osoba ta, samotna i strzeżona, skarżyła się zawzięcie, jakoby jakaś łypiąca dziko istota kąsała ją i wyżerała kawałki ciała. W 1772 roku zmarł służący Zenas, a kiedy dowiedziała się o tym pani Harris, zaczęła zaśmiewać się ze zgoła nietypowym dla niej zadowoleniem. W roku następnym ona również opuściła ten padół i została złożona na Cmentarzu Pomocnym obok swego męża.

Gdy w 1775 roku wybuchł konflikt z Wielką Brytanią, William Harris pomimo swych szesnastu lat i słabego zdrowia zaciągnął się do Regimentu Zwiadowczego pod dowództwem pułkownika Greene’ a. Od tej pory jego zdrowie regularnie się poprawiało, zyskiwał też na prestiżu. W 1780 roku jako kapitan sił Rhode Island w New Jersey pod pułkownikiem Angellem, napotkał i poślubił Phebe Hetfield z Elizabethtown, którą przywiózł do Providence, opuściwszy z honorami szeregi armii.

Powrót młodego żołnierza nie był tak wspaniały, jak można by oczekiwać. Dom co prawda był wciąż w dobrym stanie, ulicę poszerzono i przemianowano z Back Street na Benefit Street. Mercy Dexter jednak, ongiś postawna i silna, podupadła na zdrowiu, wydawała się wycieńczona i słaba, chodziła zgięta patetycznie wpół, cerę miała niezdrową i ziemistą, głos pusty i wyjątkowo cichy, jak szept zza grobu. Cechy te przejęła również jedyna pozostała w domu służąca, Maria. Jesienią 1782 roku Phebe Harris urodziła

martwą córeczkę, a piętnastego maja następnego roku Mercy Dexter, dzielna do końca, pożegnała się z życiem.

William Harris, przekonany ostatecznie o wyjątkowo niezdrowej naturze swego mieszkania, podjął niezbędne kroki, by opuścić i na zawsze porzucić dom. Zamieszkali tymczasem z żoną w nowo otwartym Golden Bali Inn, po pewnym czasie zaś William wzniósł nowy, wspaniały dom przy Westminster Street, w rozbudowywanej części miasta, po drugiej stronie Wielkiego Mostu. Tam, w 1785 roku, przyszedł na świat jego syn, Dutee, i tam w spokoju i dobrobycie mieszkała cała rodzina, póki z uwagi na gwałtowną ekspansję sklepów nie zostali zmuszeni przenieść się z powrotem za rzekę i na drugą stronę wzgórza, na Angell Street, do nowej dzielnicy willowej East Side, gdzie śp. Archer Harris zbudował w 1876 roku okazałą, lecz szpetną rezydencję z francuskim dachem. Oboje, William i Phebe, padli ofiarą epidemii żółtej febry w 1797 roku, aleDutee'a wziął na wychowanie kuzyn, Rathbone Harris, syn Pelega.

Rathbone był praktycznym mężczyzną i wynajął dom przy Benefit Street, wbrew żądaniom Williama, by pozostał on nie zamieszkany. Czuł się zobowiązany zapewnić jak najlepszą przyszłość chłopcu i ani trochę nie przejmował się zgonami czy chorobami, które wyniszczały jego mieszkańców, jak również narastającą coraz bardziej niechęcią, jaką darzono ów budynek. Z irytacją przyjął więc decyzję rady miejskiej, która w 1804 roku nakazała mu odkażenie domu siarką, smołą i kamforą, w związku z mocno dyskutowanymi zgonami czterech osób, spowodowanymi przypuszczalnie przez dobiegającą kresu epidemię żółtej febry. Powszechnie powiadano, że cały dom przesiąknięty był niezdrową, chorobliwą wonią.

Co się tyczy Duteego, nie myślał on wiele o domu, gdyż kiedy dorósł, zaciągnął się na okręt kaperski i służył z honorem na „Vigilancie" pod dowództwem komandora Cahoone'a w wojnie 1812 roku. Wrócił z wojny cały i zdrowy, w 1814 roku ożenił się i został ojcem owej pamiętnej nocy

dwudziestego trzeciego września 1814, kiedy wielka fala sztormowa zalała połowę miasta i zniosła potężny siup aż na Westminster Street, tak daleko, że maszty okrętu prawie dotykały okien domu Harrisów, jakby potwierdzając w ten sposób, że nowo narodzony chłopiec, Welcome, był synem marynarza.

Welcome nie przeżył swego ojca, lecz zginął chwalebnie pod Fredericksburgiem w 1862 roku. Ani on, ani jego syn, Archer, nie znali prawdy o przeklętym domu. Wiedział tylko, że prawie nie sposób go wynająć – być może z uwagi na zagrzybienie i chorobliwy, mdlący odór powstały zapewne wskutek wilgoci i starości budowli. W rzeczy samej, dom nie został podnajęty po serii tragicznych zgonów, których kulminacja przypadła na rok 1861, a które z uwagi na wydarzenia wojenne poszły niemal natychmiast w zapomnienie. Carrington Harris, ostatni męski potomek rodu wiedział tylko, że dom był opuszczony i stanowił przedmiot licznych związanych z nim legend i zabobonów, póki nie opowiedziałem mu o swoim przeżyciu. Zamierza] zburzyć budynek i wznieść na tym miejscu czynszówkę, lecz za moją radą postanowił go zachować, skanalizować i wynająć. Nie miał większych problemów ze znalezieniem chętnych. Groza odeszła.

Nietrudno sobie wyobrazić, jak silny wpływ wywarły na mnie kroniki Harrisów. W kronikach tych zdawało się tkwić przyczajone zło, wykraczające swym ogromem ponad wszystko, co dotąd znałem; zło wyraźnie związane z domem, nie z rodziną. Wrażenie to potwierdziły dość chaotyczne w zapisie notatki mego stryja, zapiski zasłyszanych historii i plotek krążących wśród służby, kopie aktów zgonu wystawionych przez jego kolegów, lekarzy, wycinki prasowe itp. Nie jestem w stanie wymienić tu

ogromu tych materiałów, gdyż stryj mój był niezmordowanym antykwariuszem, a przeklęty dom szczególnie go interesował. Mogę jednak nadmienić o kilku nader interesujących sprawach, na które zwróciłem uwagę, gdyż wzmianki o nich pochodziły z kilku różnych źródeł. Na przykład, plotki służby były niemal jednakowe, jeżeli chodziło o zagrzybioną i cuchnącą, nieprzyjemną piwnicę – jednocześnie uznano to właśnie pomieszczenie za emanujące najsilniej i do cna przesiąknięte zła aurą. Niektóre służące, na przykład Ann White, w ogóle nie korzystały z piwnicznej kuchni, a co najmniej trzy dobrze udokumentowane historie mówiły o dziwnych, quasi–ludzkich lub wręcz diabolicznych kształtach przyjmowanych przez korzenie drzew lub spłachcie pleśni w tym mrocznym miejscu. Te właśnie opowieści zainteresowały mnie szczególnie z uwagi na to, co miałem okazję ujrzeć w dzieciństwie, czułem wszelako, że w każdej z tych relacji zbyt wiele było przekłamań i naleciałości miejscowych wierzeń oraz opowieści o duchach.

Ann White, dorastająca w Exeter, w atmosferze tamtejszych przesądów i zabobonów wysnuła najbardziej niesamowitą, lecz i najbardziej spójną zarazem opowieść – jakoby pod domem spoczywał pogrzebany jeden z wampirów nieumarłych, które zachowują ludzką postać i żywią się krwią lub tchnieniem żyjących, a których plugawe legiony wysyłają nocami na żer swe cienie lub cielesne powłoki. Aby unicestwić wampira, jak mówiły stare babiny, należy go ekshumować i spalić jego serce lub przynajmniej przebić je drewnianym kołkiem. Do zwolnienia Ann w znacznej mierze przyczynił się fakt, że uparcie nalegała ona na przekopanie gruntu pod piwnicą.

Jej historie zyskały sobie spory rozgłos i przyjmowano je tym łacniej, że dom istotnie stał na terenie, gdzie ongiś grzebano zmarłych.

Dla mnie ich zainteresowanie mniej łączyło się z tą okolicznością, bardziej natomiast ze swobodą, z jaką przyjęto kilka innych związanych ze sprawą szczegółów – skargę zwolnionego Preserveda Smitha, który służył w

domu przed Ann i nigdy o niej nie słyszał, który twierdził, jakoby nocą „coś wysysało mu dech”; akty zgonu ofiar żółtej febry w 1804 roku wystawione przez doktora Chada Hopkinsa, stwierdzające, że u czterech zmarłych osób wystąpił znaczny niedobór krwi; a także mgliste wzmianki o szalonych majaczeniach nieszczęsnej Rhoby Harris wspominającej o ostrych zębach szklistookiej, na wpół widocznej zjawy.

Choć wolny jestem od przesądów i zabobonów, niniejsze szczegóły całej sprawy wzbudziły moje zainteresowanie, podsycane jeszcze kilkoma wycinkami z gazet, opisującymi przypadki zgonów w przeklętym domu – jeden z „Providence Gazette and Country Journal” z dwunastego kwietnia 1815 roku, drugi natomiast z „Daily Transcript and Chronicie” z dwudziestego siódmego sierpnia 1845 roku, opisujące nader szczegółowo upiorne wypadki, do tego stopnia, że nie sposób było nie zauważyć ich przerażającej zbieżności. Wydaje się, że w obu przypadkach umierająca osoba – w 1815 roku spokojna leciwa dama nazwiskiem Strafford, a w 1845 nauczyciel w średnim wieku, niejaki Eleazar Durfee, ulegli przeraźliwej przemianie. Ich oczy stały się szkliste i oboje starali się ukąsić w szyję zajmującego się nimi lekarza. Jeszcze bardziej zdumiewający był ostatni przypadek, po którym przestano wynajmować ów dom – była to cała seria śmierci wywołanych przez anemię, poprzedzonych postępującym obłędem i atakami, podczas których pacjent próbował pozbawić życia swoich krewnych poprzez rozpłatanie im żył na nadgarstkach lub tętnic szyjnych.

Było to w roku 1860 i 1861, kiedy mój stryj rozpoczął właśnie praktykę lekarską i przed wyruszeniem na front sporo usłyszał o tych wydarzeniach od swoich starszych kolegów po fachu. Naprawdę nie wyjaśnione w tej sprawie było to, że ofiary, ludzie prości – gdyż domu uznawanego powszechnie za przeklęty bądź wymarły i przesyconego osobliwym odorem, nie sposób było wynająć nikomu innemu – mamrotały złowieszcze słowa we francuskim slangu, języku i dialekcie, którego nie mieli prawa znać ze

względu na brak wykształcenia. Przywodziło to na myśl nieszczęsną Rhoby Harris sprzed blisko stu lat i to poruszyło mego stryja do tego stopnia, że po powrocie z wojny zaczął zbierać dane historyczne dotyczące feralnego domu i nie omieszkał również zasięgnąć informacji u doktora Chase’a i Whitmarsha. Było dla mnie oczywiste, że mój stryj mocno zafascynował się tą sprawą i ucieszył się, gdy i mnie ona zaciekawiła, skutkiem czego mógł rozmawiać ze mną o rzeczach, które inni skwitowaliby jedynie drwiącym śmiechem. Nie posunął się w supozycjach tak daleko jak ja, niemniej czuł, że dom ten stanowił ewenement dla ludzi obdarzonych wyobraźnią, zawierał w sobie pod tym względem ogromny potencjał i wart był odnotowania jako inspiracja w sferze grozy, niesamowitości i makabry.

Ze swej strony zamierzałem przyjrzeć się tej sprawie z absolutną powagą i zacząłem nie tylko przeglądać dowody, lecz również je gromadzić, na tyle, na ile byłem w stanie. Rozmawiałem wielokrotnie z mocno już posuniętym w latach Archerem Harrisem, podówczas właścicielem domu, zanim zmarł w 1916 roku, i uzyskałem od niego i jego niezamężnej siostry Alice potwierdzenie autentyczności wszelkich danych zebranych przez mego stryja. Kiedy jednak zapytałem ich o ewentualny związek z Francją czy językiem francuskim, wyznali, że nie mają pojęcia, o co może chodzić, i byli równie jak ja zbici z tropu. Archer był w kropce, a panna Harris powiedziała, że przypomina sobie pewne mgliste aluzje dotyczące jej dziadka, Dutee Harrisa, i być może one rzuciłyby jakieś światło na tę sprawę. Stary wilk morski, który przeżył o dwa lata swego syna, sam nie znał tej legendy. Przypomniał sobie jednak, że jego dawna pielęgniarka, niejaka Maria Robbins, znała jakąś mroczną prawdę mogącą przydać znaczenia francuskim majaczeniom Rhoby Harris, słyszanym tak często, zwłaszcza w ostatnim okresie życia nieszczęsnej kobiety. Maria przebywała w przeklętym domu od 1769 roku do wyprowadzki rodziny w 1783 i była obecna przy śmierci Mercy Dexter. Któregoś razu wspominała małemu Dutee o pewnych

niezwykłych rzekomo zdarzeniach, jakie zaszły podczas śmierci Mercy, lecz on wkrótce o tym zapomniał i jedyne, co utkwiło mu w pamięci, to wzmiankowana już wcześniej osobliwość. Jego prawnuczka nawet to wspominała z olbrzymim trudem. Ani ona, ani jej brat nie interesowali się zbytnio domem, podobnie jak syn Archera, Carrington, jego obecny właściciel, z którym odbyłem rozmowę po zdarzeniu, w którym uczestniczyłem.

Zebrawszy od rodziny Harrisów wszelkie możliwe informacje, jakie mogłem uzyskać, skoncentrowałem uwagę na wczesnych kronikach miejskich i zapiskach o zdarzeniach, jakie w nim zachodziły, pochłaniając je z zapałem większym, niż wykazywał przy tej samej czynności mój stryj. Pragnąłem poznać zborną i logiczną historię całego tego miejsca, począwszy od pojawienia się tu pierwszych osadników, w roku 1636, a nawet wcześniej, jeżeli tylko uzyskałbym możliwość uzupełnienia informacji o legendy żyjących wcześniej na tych terenach Indian Narragansett. Dowiedziałem się, że długi pas tutejszych ziem należał początkowo do Johna Throckmortona. Jedno z takich pasm zaczynało się przy Town Street, przy rzece, ciągnąc się poprzez wzgórze mniej więcej równolegle do istniejącej obecnie Hope Street. Ziemie Throckmortonów zostały później rozdzielone, ja natomiast skupiłem swą uwagę na tym odcinku, gdzie później znajdowała się Back, a następnie Benefit Street. Zgodnie z tym, co mówiły plotki, rzeczywiście znajdował się tam cmentarz Throckmortonów. Gdy jednak baczniej przejrzałem kroniki, okazało się, że ciała zostały później ekshumowane i przeniesione na Cmentarz Północny przy Pawtucket West Road.

Nagle, zupełnie przypadkiem, gdyż informacja ta nie znajdowała się w oficjalnych kronikach i z łatwością mogłem ją przeoczyć, natknąłem się na coś, co obudziło we mnie szczególną ciekawość, pobudziło do działania i co więcej, pasowało do kilku wyjątkowo niezwykłych aspektów tej sprawy. Był

to akt dzierżawy z 1697 roku niewielkiego odcinka gruntu niejakiemu Etienne Roulet z żoną. Wreszcie pojawił się w tej aferze akcent francuski oraz kolejny, znacznie bardziej dojmujący element grozy, który ożywił brzmienie tego nazwiska, przywołując jego wspomnienie z mrocznej otchłani przeczytanych ongi zakazanych i mrożących krew w żyłach lektur, przeto z nowym zapałem zacząłem badać dane o lokalizacji wymarłego domu i miejsc, gdzie go wzniesiono. Sprawdziłem wszystkie dostępne kroniki mówiące o układzie tamtego terenu przed jego podziałem i częściowym wypoziomowaniem Back Street pomiędzy 1747 a 1758 rokiem. Dowiedziałem się tego, czego w głębi duszy się spodziewałem, że w miejscu, gdzie stał teraz przeklęty dom, Rouletowie założyli swój własny cmentarz, na tyłach niewielkiego parterowego domku z poddaszem, i nigdzie nie natknąłem się na wzmiankę o przenosinach spoczywających tam zwłok. Dokument, nawiasem mówiąc, kończył się dość chaotycznie i zmuszony byłem przetrząsnąć archiwa Towarzystwa Historycznego Rhode Island i biblioteki Shepleya, zanim natknąłem się na jakąkolwiek wzmiankę otwierającą drzwi oznaczone nazwiskiem Etienne Roulet. Wreszcie coś znalazłem; coś nader mglistego i niejasnego, lecz o tak ogromnym, choć przerażającym znaczeniu, że natychmiast postanowiłem zbadać piwnicę wymarłego domu. Rouletowie, jak się zdawało, przybyli w tę okolicę z East Greenwich w roku 1696. Byli hugenotami z Caude i napotkali wyjątkowo silny sprzeciw ze strony notabli z Providence, nim pozwolono im osiedlić się w mieście. W East Greenwich, dokąd przybyli w 1686 roku, po zniesieniu edyktu nantejskiego, nie cieszyli się zbytnią popularnością i jak głosiły plotki, niechęć ta wykraczała poza zwyczajowe rasowe i narodowościowe uprzedzenia czy nawet spory o ziemię, tak częste pomiędzy francuskimi i angielskimi osadnikami, że nie był w stanie ukrócić ich nawet gubernator Andros. Jednak ich żarliwy protestantyzm – niektórzy powiadali, że zbyt żarliwy – oraz wyraźny niepokój, gdy przegnano ich z wioski, zapewniły im

ostatecznie bezpieczną przystań. Etienne Roulet bowiem, niezbyt zdolny w uprawie roli, natomiast uczony w mowie, piśmie i kreśleniu osobliwych diagramów według wzorów z tajemniczych ksiąg, otrzymał posadę duchownego na placówce przy przystani Pardona Tillinghasta, na południowym krańcu Town Street. Jednak jakieś czterdzieści lat później wybuchły tam bliżej nieokreślone zamieszki. Rozpoczęły się one po śmierci starego Rouleta, potem zaś nikt już więcej nie słyszał o tej rodzinie.

Wydaje się, że przez ponad sto lat wspominano Rouletów i często o nich mówiono jako o rodzinie, która wniosła pewne ożywienie do sennego portowego miasteczka. Syn Etienne'a, Paul, posępny, zgryźliwy mężczyzna, którego dziwaczne prowadzenie się wywołało zapewne zamieszki, w rezultacie których doszło do unicestwieni a całej rodziny, stanowił szczególny obiekt najprzeróżniejszych spekulacji, i choć w Providence nie dochodziło do przypadków paniki i lęku przed czarami, jak to działo się w pobliskich purytańskich osadach, stare babiny otwarcie mówiły, że nigdy nie odmawiał on modłów, kiedy należało, ani też nie zanosił ich do konkretnej osoby. Bez wątpienia te właśnie plotki stały się podstawą legendy, którą znała stara Maria Robbins. Jaki związek z nią miały obłąkańcze bredzenia posługującej się francuskim slangiem Rhoby Harris i innych mieszkańców przeklętego domu, określić mogły jedynie przypuszczenia lub przyszłe odkrycia. Zastanawiałem się, jak wielu z tych, którzy znali legendy, uświadamiało sobie istnienie dodatkowego ogniwa, które napotkałem, ślęcząc nad starymi annałami pewnego wyjątkowo odrażającego fragmentu opowiadającego o potwornej kreaturze znanej jako Jacques Roulet z Caude, który w 1598 roku został za czary skazany na śmierć. Później wszelako parlament paryski ocalił go przed stosem i wtrącił do zakładu dla obłąkanych. Znaleziono go w lesie zbryzganego krwią i oblepionego strzępami tkanek, wkrótce po tym, jak dwa wilki zabiły i rozdarły na kawałki małego chłopca. Widziano, jak jeden z wilków pierzchnął bez

szwanku. Historia ta bez wątpienia nadaje się do opowiadania przy kominku, a jest tym ciekawsza, że występuje zbieżność nazwisk i miejsca. Uznałem wszelako, że plotkarze z Providence nie mogli o niej wiedzieć. Gdyby tak było, wspomniana zbieżność zaowocowałaby bardziej drastycznymi i okrutnymi czynami. Czyż jednak było możliwe, że to właśnie tego rodzaju plotki doprowadziły do wybuchu zamieszek i ostatecznie do wygnania Rouletów z miasta?

Teraz coraz częściej odwiedzałem przeklęty–dom, badałem niezdrową roślinność pieniącą się w ogrodzie i studiowałem uważnie każdy cal piwnicznego klepiska. Wreszcie, za pozwoleniem Carringtona Harrisa, dorobiłem klucz do nie używanych z dawien dawna drzwi wiodących z piwnicy wprost na Benefit Street, wolałem bowiem mieć możność szybszego wydostania się na ulicę, niźli piąć się po mrocznych schodach i przez hol na piętrze dochodzić do frontowych drzwi. Miejsca, gdzie moim zdaniem zła aura była najsilniejsza, badałem wnikliwie całymi popołudniami, póki promienie słońca przezierały przez zasnuty pajęczyną świetlik nad piwnicznymi drzwiami, dzięki którym tylko kilka stóp dzieliło mnie od zatłoczonego zwykle chodnika na zewnątrz.

Moje wysiłki nie zaowocowały odkryciami, natknąłem się jedynie na pleśń, która trawiła badane przeze mnie pomieszczenie, nieprzyjemny odór, aczkolwiek niezbyt silny, i widniejące na podłodze mgliste, niepokojące zarysy. Podejrzewam, że wielu przechodniów, którzy widzieli mnie przez powybijane szyby, musiało ze zdziwieniem obserwować me poczynania.

Wreszcie, za namową stryja, postanowiłem zbadać to miejsce po zmierzchu i pewnej burzliwej nocy omiotłem promieniem mej latarki zawilgłą podłogę pokrytą dziwacznymi kształtami i poskręcanymi, lekko fosforyzującymi spłachciami pleśni. Miejsce to natchnęło mnie owego wieczoru nieokreśloną bliżej trwogą i niemal nie zdziwiło mnie, gdy ujrzałem, lub wydało mi się, że ujrzałem, wśród białego nalotu wyjątkowo

wyraźnie zmaterializowaną „skurczoną postać” zapamiętaną jeszcze z dzieciństwa.

Jej przejrzystość i wyrazistość nie miały sobie równych i były doprawdy zdumiewające, a gdy tak na nią patrzyłem, odniosłem wrażenie, że dostrzegam cienkie, żółtawe, falujące pasemka niby dymu, które wzbudziły we mnie trwogę tamtego deszczowego popołudnia, wiele lat temu.

Wznosiła się ponad antropomorficzną plamą pleśni przy kominku, delikatne, niezdrowe nieomal opary, które unosząc się drżąco nad wilgotnym spłachciem ziemi, zdawały się przybierać mglisty i bulwersujący w swej sugestii kształt, stopniowo jednak rozpływały się w coraz rzadsze pasma, by, zniknąwszy w czeluści wielkiego komina, pozostawić po sobie tylko odrażający fetor. Było to zaiste przerażające, zwłaszcza dla mnie, gdyż dysponowałem szczegółowymi informacjami dotyczącymi tego miejsca. Odwracając się, by czym prędzej pierzchnąć z tego przeklętego miejsca, czułem, że z kolei to coś zaczęło obserwować mnie chciwie niewidzialnymi, lecz wyczuwalnymi oczyma. Kiedy opowiedziałem o tym stryjkowi, bardzo go moja historia poruszyła i po pełnej napięcia godzinie namysłu podjęliśmy ostateczną i drastyczną decyzję. Mając na uwadze ważkość sprawy i znaczenia naszego z nią związku, zaproponował, byśmy we dwóch zbadali i –jeżeli to możliwe – unicestwili czającą się w wymarłym domu grozę, podczas trwającego jedną lub więcej nocy czuwania wewnątrz owej mrocznej, cuchnącej stęchlizną i grzybem piwniczki.

W środę, dwudziestego piątego czerwca 1919 roku, po uprzednim powiadomieniu Carringtona Harrisa, lecz bez wyjaśnienia prawdziwego celu naszej wyprawy, mój stryj i ja przenieśliśmy do wymarłego domu dwa składane krzesła oraz łóżko polowe i pewne ciężkie, nader złożone naukowe

urządzenie mechaniczne. Za dnia znieśliśmy to wszystko do piwnicy, zakleiliśmy okna gazetami i oczekiwaliśmy nadejścia zmierzchu, kiedy to miało rozpocząć się nasze czuwanie. Zamknęliśmy drzwi wiodące być ona z natury wroga lub kierować się zwyczajnym instynktem samozachowawczym. Tak czy inaczej, monsuum owo musi zostać z konieczności uznane za anomalię, intruza, którego kompletne unicestwienie powinno zostać uznane za pierwszorzędny obowiązek każdego człowieka, dbającego o dobro i rozwój całego świata.

Najgorsze było, że nie wiedzieliśmy, ba, nie wyobrażaliśmy sobie nawet potencjalnego spotkania z tą istotą. Nikt przy zdrowych zmysłach dotąd jej nie widział i mało kto uświadamiał sobie w ogóle jej obecność. Mogła to być forma czystej energii, eteryczna, przeto pozostająca poza granicami świata materialnego, lub fizyczna jedynie po części, ot, jakaś nieznana i podejrzanej natury plastyczna masa, zdolna zmieniać się wedle woli z formy materialnej w gazową, płynną lub rozproszoną tak, że całkiem niewidzialną. Antropomorficzny kształt plamy pleśni na klepisku, żółtawe pasemka dymu i zakrzywione formy korzeni drzewa, o których mówiły pewne ludowe przekazy, zdawały się sugerować przynajmniej po części – zdawkowo wręcz – materializację sylwetki ludzkiej, lecz w jakim stopniu był on domeną owej istoty i czy kształt ten potrafiła przyjmować na dłużej, żaden z nas nie potrafił odpowiedzieć. Dysponowaliśmy dwoma rodzajami broni, by stawić jej czoło – ogromnym, zmodyfikowanym egzemplarzem cylindra Crookesa zasilanym z przenośnych akumulatorów i zaopatrzonym w specjalne ekrany oraz reflektory, na wypadek gdyby istota okazała się bezcielesna i eteryczna, a tym samym do unicestwienia jej potrzebowalibyśmy silnego strumienia radiacji, jak również dwa wojskowe miotacze ognia, z rodzaju tych, które używane były podczas wojny światowej, w razie gdyby przyszło nam zmierzyć się z czymś choćby na poły materialnym i podatnym na zranienie konwencjonalnymi metodami. Jak wieśniacy z Exeter, gotowi byliśmy spalić

na popiół serce owego stworzenia, gdyby takowe posiadało. Sprzęt bojowy rozstawiliśmy w piwnicy w ściśle określonych miejscach, podobnie jak wcześniej krzesła i łóżko, a dokładniej mówiąc, na wprost kominka, gdzie na klepisku widać było osobliwego kształtu plamę pleśni. Ów sugestywny spłachetek zgnilizny i zepsucia był, nawiasem mówiąc, słabo widoczny, kiedy rozstawialiśmy nasze meble i instrumenty, a kiedy tego wieczoru wróciliśmy, by podjąć czuwanie, przez krótką chwilę zwątpiłem w to, co wydawało mi się, że kiedyś ujrzałem, i wówczas powróciłem myślami do starych podań.

Czuwanie nasze rozpoczęliśmy o dziesiątej wieczorem i początkowo nie przyniosło spodziewanych efektów. Słabe, rozrzedzone światło płynące z sieczonych strugami deszczu latarni ulicznych na zewnątrz i blada fosforescencja odrażającej pleśni wewnątrz ukazywały ociekające gołe kamienne ściany, pozbawione najmniejszych nawet resztek wapna; wilgotne, cuchnące, skalane pleśnią klepisko z obscenicznie pieniącym się po nim grzybem; przegniłe szczątki czegoś, co było stołkami, krzesłami, stołami i niemożliwymi dziś do rozpoznania meblami; ciężkie deski i masywne belki stropowe, stare drzwi prowadzące do spiżarni i pomieszczenia pod innymi częściami domu; zmurszałe, kamienne schody ze zniszczoną drewnianą balustradą oraz toporny, ogromny kominek z poczerniałej cegły, gdzie przerdzewiałe żelazne elementy stanowiły smętne pamiątki po wspaniałych ongiś hakach, wilkach, szpikulcach rożna, szczypcach i drzwiczkach holenderskiego pieca. Wszystko to dostrzec można było w słabej poświacie, jak również nasze sprzęty, polowe łóżko, składane krzesła i ciężką broń do walki z nieznanym.

Tak jak podczas swych poprzednich wizyt w tym domu, pozostawiliśmy drzwi prowadzące na ulicę nie zamknięte, by w razie manifestacji mocy, z którą nie moglibyśmy sobie poradzić, mieć w każdej chwili szansę ucieczki. Byliśmy przekonani, że nasza obecność w domu wywabi złowrogą istotę,

która się w nim gnieździła, a przy gotowani na spotkanie z nią, powinniśmy ją w ten lub inny sposób unicestwić, po uprzednim rozpoznaniu i przeprowadzeniu niezbędnych obserwacji. Nie mieliśmy pojęcia, jak dużo czasu może nam zająć przywołanie, zbadanie, a następnie likwidacja tej istoty. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nasza misja jest ogromnie niebezpieczna, nie sposób było bowiem stwierdzić, jaką mocą dysponować miała istota pojawiająca się przed nami. Uznaliśmy wszelako, że gra warta jest świeczki, i bez wahania tylko we dwóch podjęliśmy się tego zadania. Mieliśmy świadomość, iż szukając pomocy z zewnątrz, narazilibyśmy się jedynie na drwiny i szyderstwa, a może nawet na obrócenie wniwecz całego przedsięwzięcia. Rozmawialiśmy również na ten temat do późnych godzin nocnych, aż mój stryj, poczuwszy nieodpartą senność, za mą namową ułożył się na połówce, by pogrążyć się w dwugodzinnej drzemce.

Osobliwy lęk zmroził mnie do szpiku kości, gdy tak czuwałem samotnie w środku nocy, sam, powiadam, gdyż ten, kto siedzi obok śpiącego, nie odczuwa wcale jego obecności, a może raczej silniej odbiera wówczas swoją własną. Stryj mój oddychał ciężko, odgłos jego wdechów i wydechów zlewał się z szumem deszczu na zewnątrz i drażniącym kapaniem wody w piwniczce, w domu tym bowiem, nawet gdy było gorąco i sucho, panowała wilgoć jak na bagnach. Przyjrzałem się bacznie obluzowanym starym kamieniom w ścianach, którym szczególnego charakteru dodawały fosforescencja pleśni i słabe światło, z trudem przenikające z ulicy przez zaklejone gazetami okna. W pewnej chwili, gdy duszna atmosfera przytłoczyła mnie szczególnie mocno, otworzyłem drzwi i powiodłem wzrokiem wzdłuż ulicy w jedną i drugą stronę, napawając oczy znajomym widokiem, a nozdrza wypełniając rześkim, chłodnym powietrzem. Nadal nie wydarzyło się nic, co mogłoby wynagrodzić mi czas spędzony na czuwaniu, raz po raz zacząłem ziewać, zmęczenie bowiem z wolna pokonywało tkwiące we mnie lęki.

I wtem uwagę moją zwrócił stryj, który zaczął przewracać się przez sen. Poruszył się niespokojnie na łóżku kilka razy w ciągu ostatniej pół godziny, teraz wszelako oddech jego stał się dziwnie nieregularny, a od czasu do czasu z jego piersi dobywał się jakby zduszony, piskliwy jęk. Oświetliłem go promieniem elektrycznej latarki, lecz był odwrócony do ściany, przeto podszedłem do niego i ponownie zaświeciłem latarką, by sprawdzić, czy nic mu nie jest. To, co ujrzałem, mocno mną wstrząsnęło, co jest o tyle dziwne, że całe zdarzenie wydawało się raczej trywialne. Niewątpliwie na stan mój wpłynął fakt, iż znajdowaliśmy się w miejscu uznawanym za nawiedzone i byliśmy w trakcie wypełniania misji, której powodzenie uważaliśmy za rzecz najważniejszą, gdyż to, co się stało, nie było samo w sobie przerażające ani nadnaturalne. Na twarzy mego stryja widniał przedziwny grymas, wywołany bez wątpienia jakimś koszmarnym snem, grymas niezwykłego ożywienia, nadający mu niesamowity wygląd – przez chwilę nie wydawał się sobą. Zazwyczaj był to człowiek spokojny, zrównoważony i łagodnej natury, teraz natomiast ścierały się w nim sprzeczne emocje. Wydaje mi się, że to ich mnogość była powodem mego zaniepokojenia. Mój stryj, który chwytając łapczywie dech i miotając się na łóżku, miał teraz otwarte oczy, zdawał się niejednym, lecz wieloma ludźmi, od których jego jaźń w jakiś niezwykły sposób zdołała się oddzielić.

Nagle zaczął mruczeć pod nosem, a wygląd jego zębów i ust, gdy to uczynił, zupełnie mi się nie spodobał. Słowa były z początku niezrozumiałe i nagle – jakbym doznał olśnienia – rozpoznałem je na tyle, że poczułem na plecach lodowate ciarki, a potem przypomniałem sobie rozliczne badania stryja i jego przekłady z artykułów dotyczących antropologii i starożytności w „Revue des Deux Mondes”. Sędziwy Elihu Whipple mamrotał bowiem po francusku i kilka zrozumiałych dla mnie słów zdawało się tyczyć najmroczniejszych mitów, jakie staruszek przełożył na angielski ze słynnego paryskiego czasopisma.

Wtem na czole śpiącego zaperlił się pot i mężczyzna, na wpół przebudzony, poderwał się z łóżka. Przeszedł wpół słowa na angielski i pełnym podniecenia ochrypłym głosem zakrzyknął: – Oddech! Mój oddech! – Z tymi słowy obudził się zupełnie, a rysy jego twarzy powróciły do normy i po chwili stryj, ująwszy mnie za rękę, zaczął relacjonować mi sen, którego znaczenia mogłem z trwogą tylko się domyślać.

Jak wyznał, odpłynął z domeny typowego, pospolitego snu do koszmaru tak osobliwego, z jakim nigdy dotąd się nie zetknął. Był to ten świat i nie ten zarazem, cienisty, geometryczny chaos, w którym można było dostrzec elementy znajomych rzeczy w najbardziej zaskakujących i nieprawdopodobnych kombinacjach. Jak przez mgłę widział nakładające się na siebie nawzajem obrazy, w układzie których zasady czasu i przestrzeni rozpływały się i mieszały ze sobą w sposób zdający się przeczyć wszelkiej logice. W tym kalejdoskopowym wirze fantasmagorycznych obrazów pojawiały się co chwila stop–klatki, choć słowo to niedokładnie określało to, co widział wtedy staruszek. Były to wizje niezwykłej przejrzystości, o niezmierzonej wszelako różnorodności.

Stryj mój odniósł w pewnej chwili wrażenie, jakby leżał w głębokiej ziemnej jamie, a z góry gapiły się nań gniewne oblicza ludzi, mężczyzn i kobiet w perukach i trójgraniastych kapeluszach. Innym razem wydawało mu się, że znajdował się wewnątrz domu, starego domu, lecz szczegóły i jego mieszkańcy stale się zmieniali, do tego stopnia, że nie potrafił rozróżnić twarzy, mebli ani nawet samego pomieszczenia, gdyż drzwi i okna były najwyraźniej w ciągłym ruchu, podobnie jak większość tamtejszych ruchomych przedmiotów. Było to dziwne – diabelnie dziwne – a mój stryj mówił z wielką niepewnością, jakby się lękał, że mu nie uwierzę, gdy oświadczył, że pośród tych dziwnych twarzy wiele nosiło charakterystyczne rysy rodu Harrisów. Przez cały czas odczuwał dziwne, niezrozumiałe

duszenie, jakby czyjaś obecność przenikała jego ciało, usiłując wyssać zeń wszystkie siły witalne.

Zadygotałem na myśl o tych siłach witalnych, nadwątlonych bezlitosnym zębem czasu, stawiających opór nieznanym mocom, których mógł lękać się najsprawniejszy i najsilniejszy z młodych organizmów. Jednak już po chwili skonstatowałem, że sny są tylko snami, a te niemiłe ogólnie wizje musiały zostać wywołane podświadomą reakcją mego stryja na nasze śledztwo oraz nadzieje przepełniające w ostatnich dniach umysły nas obu, pomijając wszelkie inne elementy tej sprawy.

Rozmowa niebawem zepchnęła w cień moje obawy i wrażenie obcości. Po pewnym zaś czasie zacząłem ziewać i ułożyłem się na spoczynek. Mój stryj wydawał się bardzo czujny, rozbudzony i z chęcią przejął po mnie wartę, choć koszmar wytrącił go ze snu na długo, nim upłynęły dwie godziny wyznaczone na jego odpoczynek. Sen zmorzył mnie szybko i niemal natychmiast nawiedziły mnie mroczne, bulwersujące koszmary i wizje kosmicznej, niezmierzonej samotności, a także wrażenie wrogości atakujące ze wszystkich stron ściany niby–więzienia, w którym się znalazłem. Zdawało mi się, że jestem związany i zakneblowany, dobiegało mnie płynące z oddali szydercze echo niezliczonych głosów domagających się mojej krwi. Ujrzałem twarz mego stryja w okropniejszej wszelako i bardziej osobliwej scenerii niż na jawie, i przypominam sobie, że nieraz bezskutecznie szamotałem się i próbowałem krzyczeć. To nie był przyjemny sen i przez krótką chwilę ucieszyłem się, usłyszawszy przeraźliwy wrzask, który przeniknął przez bariery snu, przywracając mnie skądinąd brutalnie do świata jawy, gdzie wszystko, co znajdowało się przed mymi oczyma, wydało mi się nagle bardziej rzeczywiste i wy–raźniejsze niż kiedykolwiek.

Leżałem odwrócony plecami do krzesełka mego stryja, toteż przebudziwszy się gwałtownie, ujrzałem jedynie drzwi wiodące na ulicę, północne okno i ścianę, sufit oraz podłogę po tej stronie, odzwierciedlone z przeraźliwą wyrazistością w moim mózgu dzięki światłu jaśniejszemu niż fosforescencja pleśni czy poświata bijąca z zewnątrz. Nie było silne, w każdym razie nie na tyle, by można było przy nim czytać książkę. Spowodowało jednak pojawienie się na podłodze cienia łóżka i mnie samego, a jego żółtawa, przenikliwa moc sugerowała coś więcej niż tylko zwykłą luminescencję. To wszystko dostrzegłem z niezdrową wyrazistością, pomimo że dwa z moich zmysłów zostały w brutalny sposób zaatakowane. W uszach bowiem rozbrzmiewało mi wciąż echo tego rozdzierającego krzyku, nozdrza zaś przepełniał odór rozchodzący się po całym pomieszczeniu. Umysł mój, równie czujny jak zmysły, natychmiast oszacował sytuację jako poważną, i niemal automatycznie poderwawszy się z łóżka, odwróciłem się, by sięgnąć po narzędzie zniszczenia, które zostawiliśmy wymierzone w plamę pleśni przed kominkiem. Gdy się obróciłem, to, co ujrzałem, sprawiło, że zastygłem w bezruchu. Wrzask bowiem pochodził z ust mego stryja, ja natomiast nie wiedziałem, przed jakim zagrożeniem miałem bronić jego i siebie.

Okazało się, że widok był znacznie gorszy, niż się spodziewałem. Istnieją koszmary wychodzące poza wszelkie znane bariery potworności, ta natomiast groza, niepojęta i mrożąca krew w żyłach, była jedną z tych, którą kosmos rezerwuje dla garstki nielicznych pechowców–nieszczęśników. Z przeżartej grzybem i wilgocią ziemi płynęło widmowe, trupie światło, żółte i niezdrowe, jak ropa z zakażonych tkanek, które falując i kołysząc się, urosło do gigantycznych rozmiarów, przyjmując mglistą postać ni to człowieka, ni to bestii, przez którą mogłem dostrzec znajdujące się dalej komin i ruszt kominka. Miało mnóstwo oczu, wilczych, wygłodniałych i drwiących, a jego toporna, jakby owalna głowa na czubku rozpłynęła się w cienką smużkę

mgiełki, która wirując przez chwilę, jęła rozpraszać się i znikać w czeluściach komina. Powiadam, że widziałem to coś, lecz dopiero otrząsnąwszy się ze zdenerwowania, po dłuższym namyśle, zdołałem przypomnieć sobie jego wygląd. W tamtych chwilach była to dla mnie jedynie wirująca, lekko fosforyzująca chmura grzybiastego plugastwa, spowijająca i rozpuszczająca z niezwykłą wręcz plastycznością jedyny obiekt, na którym skupiłem całą swą uwagę. Obiektem tym był mój stryj, sędziwy Elihu Whipple, którego czerniejące i rozkładające się oblicze łypało na mnie i szczerzyło się drwiąco, który wyciągał ku mnie ociekające tkankami zakrzywione w szpony palce, by rozedrzeć mnie na strzępy z nienasyconą wściekłością wywołaną tą zatrważającą grozą.

Tylko rutyna pozwoliła mi ocalić zdrowe zmysły. Byłem dobrze przygotowany na nadejście tej chwili i teraz poddałem się rutynie nabytej wskutek treningu. Ona mnie ocaliła. Stwierdziwszy, że wirujący zły opar był niematerialny, a przeto nie sposób było go zniszczyć tak jak rzeczy fizyczne, nie sięgnąłem po miotacz płomieni po lewej, lecz po cylinder Crookesa, i uruchomiwszy aparat, skierowałem na tę nieśmiertelną, nienazwaną plugawość moc najsilniejszego promieniowania, jaką człowiek swą wiedzą jest w stanie wyzwolić z przestrzeni i fluidów natury. Pojawiła się błękitnawa mgiełka i rozległo się szaleńcze pyrkota–nie, a potem na moich oczach żółtawa fosforescencja poczęła słabnąć. Zorientowałem się, że jej blaknięcie wywołał jedynie kontrast z niebieskim ogniem i że fale z urządzenia nie wywarły na istocie żadnego skutku.

I nagle w samym środku tego demonicznego widowiska ujrzałem nową grozę, która wydobyła z mych ust krzyk przerażenia i skierowała mnie słaniającego się na nogach do klamki nie zamkniętych drzwi od ulicy. Nie bacząc na to, jakie koszmary mogę wypuścić na świat ani jakie zdanie będą mieli o mnie ludzie, gdy dowiedzą się, co uczyniłem, pragnąłem jedynie opuścić to przeklęte miejsce. W tym słabym świetle, będącym mieszaniną

żółtej i niebieskiej poświaty postać mego stryja rozpłynęła się nagle niczym wosk. Składu tej substancji jednak nie sposób było nawet pobieżnie określić i nagle na jego roztapiającej się twarzy pojawiły się zmieniające się jak w kalejdoskopie oblicza, których wygląd mógł zrodzić się jedynie w umyśle szaleńca. Był w jednej chwili diabłem i całym legionem szatanów, trupem z kostnicy i całą rzeszą innych nienazwanych istot. Oświetlone mieszanką niepewnych promieni, owo galaretowate oblicze przyjęło dziesięć, dwadzieścia, sto odmiennych kształtów. Uśmiechając się, zaczęło spływać na ziemię gęstymi oleistymi strugami, karykatura podobizny legionów osobliwych i wcale nie tak niezwykłych zarazem.

Ujrzałem rysy twarzy rodu Harrisów, zarówno męskich, jak i żeńskich, dorosłych i dzieci, a także innych, starych i młodych, ostrych i łagodnych, znajomych i nieznajomych. Przez sekundę mignął mi także nieco spaczony wizerunek nieszczęsnej Rhoby Harris, której podobiznę widziałem w School of Design Museum, a innym razem wydawało mi się, że dostrzegam charakterystyczne, z uwagi na kościstą budowę, oblicze Mercy Dexter, zapamiętane przeze mnie z obrazu w domu Carringtona Harrisa. Było to przerażające doświadczenie, którego nie sposób opowiedzieć aż do samego końca, kiedy ujrzałem osobliwie ze sobą złączone wizerunki służącej i niemowlęcia, majaczące tuż nad porośniętym grzybem klepiskiem, gdzie rozlewała się plama zielonkawego tłuszczu. Wydawało się, jakby te zmieniające się kształty walczyły między sobą, usiłując przybrać na powrót łagodne rysy twarzy mojego stryja. Chciałbym myśleć, że jeszcze wtedy istniał i że w ten sposób próbował pożegnać się ze mną. Chyba wykrztusiłem wówczas przez zaciśnięte gardło krótkie pożegnanie i czym prędzej wybiegłem na ulicę. Cienka strużka tłuszczu podążała za mną przez drzwi, aż do skraju zroszonego deszczem chodnika.

Reszta to mroczna, potworna zagadka. Na skąpanej w deszczu ulicy nie było żywego ducha, a na całym świecie nie było nikogo, komu odważyłbym

się o tym opowiedzieć. Szedłem przeto bez celu na południe, mijając College Hill i Ateneum, w dół ulicy Hopkinsa, a potem przez most do dzielnicy handlowej, gdzie wysokie budynki zdawały się mnie chronić, tak jak współczesne rzeczy materialne bronią świat przed pradawnymi okropieństwami i osobliwościami. A potem szary świt nadszedł w strugach deszczu, od wschodu rozjaśniając pradawne wzgórze i sędziwe dachy domów, przywabiając mnie na powrót do miejsca, gdzie pozostawiłem pewną nie dokończoną, a nader ważną sprawę. Szedłem tak i szedłem, przemoczony, z gołą głową, oszołomiony i zdezorientowany w blasku poranka, po czym przestąpiłem próg tego przeklętego domu przy Benefit Street, tą samą drogą, którą go opuściłem. Drzwi pozostawiłem otwarte i wciąż były uchylone, ku zdziwieniu przechodniów, z którymi jednak nie odważyłem się podzielić swymi rewelacjami.

Tłuszczu już nie było, gdyż wilgotne i zagrzybione klepisko pozostało porowate, przed kominkiem zaś ani śladu po wielkiej zgiętej w pół osadowej postaci. Spojrzałem na łóżko, na krzesła, instrumenty, porzucony przeze mnie kapelusz i żółty słomiany kapelusz mego stryja. Byłem tak oszołomiony, że z trudem przypominałem sobie, co było snem, a co rzeczywistością. I wtedy wróciła mi świadomość, a wraz z nią poczucie, że doświadczyłem rzeczy dużo straszniejszych niż te, o których śniłem. Usiadłszy, spróbowałem na tyle, na ile to możliwe, z uwagi na swój obecny stan, zweryfikować, co się wydarzyło, i wykoncypować, jak położyć kres temu koszmarowi, jeżeli wydarzył się on naprawdę. Owo coś nie wydawało mi się ani materialne, ani też eteryczne, a co więcej, niepojęte dla umysłu przeciętnego śmiertelnika. Czymże więc mogło być, jeśli nie jakąś egzotyczną emanacją, diabelską manifestacją, wampirycznym, bezcielesnym upiorem czyhającym, jak powiadają wieśniacy z Exeter, na niektórych starych cmentarzach? Był to, jak mi się zdawało, pewien ślad i ponownie spojrzałem na klepisko przed kominkiem, gdzie pleśń i saletra stworzyły

plamę o dziwacznym kształcie. W ciągu dziesięciu minut podjąłem decyzję i zabrawszy kapelusz, udałem się do domu, gdzie wziąłem kąpiel, przekąsiłem co nieco i zamówiłem przez telefon oskard i łopatę, wojskową maskę przeciwgazową oraz sześć butli kwasu siarkowego, z prośbą, by dostarczono je następnego ranka przed drzwi piwniczki wymarłego domu przy Benefit Street. Później próbowałem choć trochę się przespać, bezskutecznie jednak, toteż zająłem się lekturą i układaniem marnych wierszy, co miało choć w pewnym stopniu ukoić me rozkołatane nerwy.

Następnego dnia o jedenastej zacząłem kopać. Dzień był słoneczny i to poprawiło mi humor. Wciąż byłem sam, gdyż choć trawił mnie lęk przed nieznanym koszmarem, którego poszukiwałem, strach przed podzieleniem się z kimś moją wiedzą okazał się silniejszy. Później opowiedziałem o tym Harrisowi, lecz tylko t konieczności i dlatego, że Harris słyszał już od starych najróżniejsze, dziwaczne historie, przeto uznałem, iż był skłonny mi Uwierzyć. Gdy zacząłem kopać w cuchnącej czarnej ziemi przed kominkiem, ostrze mego kilofa, trafiwszy w białe pasemka grzyba, rozpłatało je, a z rozerwanych strzępków popłynęła lepka, żółtawa posoka. Zadrżałem na nieokreśloną bliżej, mglistą myśl, co mogę wkrótce napotkać. Niektóre sekrety wnętrza ziemi nie są dobre ani zdrowe dla ludzkości, ten natomiast wydawał się jednym z nich.

Ręce dygotały mi jak w febrze, ale nie przerywałem mozolnej pracy i wkrótce stałem już na dnie wykopanego przez siebie wielkiego dołu. W miarę jak pogłębiałem jamę, mającą jakieś sześć stóp kwadratowych, okropny fetor zaczął przybierać na sile, straciłem również wszelką wątpliwość co do nieuchronności zetknięcia z piekielną istotą, której złowrogi wpływ był od półtora wieku śmiertelnym przekleństwem dla wszystkich mieszkańców tego domu. Zastanawiałem się, jak będzie ona wyglądać, jaki będzie jej kształt i forma, a także jak wielka mogła stać się po prawie dwóch wiekach wysysania sił żywotnych z ludzkich ofiar. W końcu

wygramoliłem się z jamy i rozrzuciwszy zwały nagromadzonej ziemi, przeniosłem wielkie butle z kwasem na skraj dołu, ustawiając je po dwóch stronach, by w razie konieczności możliwie szybko móc opróżnić ich zawartość do wnętrza dołu. Od tej pory wyrzucałem ziemię tylko na stronę przeciwną niż ta, gdzie zainstalowałem butle, pracowałem wolniej i z uwagi na coraz silniejszy fetor nałożyłem maskę przeciwgazową. Bliskość tej nienazwanej istoty znajdującej się gdzieś pode mną sprawiła, że nerwy miałem napięte do granic możliwości. Wtem ostrze mojej łopaty uderzyło w coś bardziej miękkiego niż gleba. Zadrżałem i niewiele brakowało, bym wypełzł z jamy, której skraj miałem obecnie na wysokości szyi. Naraz powróciła mi odwaga i w świetle elektrycznej latarki, którą miałem przy sobie, odgarnąłem ostatnią warstewkę ziemi z tego, na co natrafiłem łopatą. Powierzchnia, którą odkryłem, była szklista i jakby rybia, przypominała na wpół przegniłą galaretę, zastygłą i miejscami półprzeźroczystą. Odgarnąłem więcej ziemi i oczom mym ukazał się niezwykły kształt. Ujrzałem szczelinę w miejscu, gdzie część substancji nakładała się jedna na drugą. Odsłonięty fragment był ogromny i jakby cylindryczny, przypominał nieco miękką, sinobiałą, złożoną wpół rurę od pieca mierzącą w najszerszej części dwie stopy średnicy. Kopałem dalej i nagle wyskoczyłem z jamy jak oparzony, gorączkowo odkorkowując i przechylając wielkie, ciężkie butle, by opróżnić ich żrącą zawartość na cielsko tej plugawej, niewyobrażalnej wręcz potworności, której tytaniczny łokieć dane mi było zobaczyć.

Oślepiający wir zielonożółtych oparów, jaki buchnął gwałtownie z wnętrza jamy, gdy zalałem ją strugami żrącego kwasu, na zawsze już pozostanie w mej pamięci. Na całym wzgórzu ludzie opowiadają o żółtym dniu, kiedy zjadliwe, przerażające opary buchnęły gęstymi kłębami z odpadów fabrycznych wylewanych do rzeki Providence, lecz ja wiem, że wszyscy ci ludzie mylnie określają pochodzenie owej tajemniczej chmury. Mówią również o przerażającym ryku, który dobył się w tym samym czasie

z jakiejś uszkodzonej rury wodociągowej lub płynących pod ziemią przewodów gazowych, i gdybym się odważył, w tym przypadku również mógłbym udowodnić, że byli w błędzie. Było to niewiarygodne, wstrząsające i przerażające – sam nie wiem, jak udało mi się pozostać przy życiu i zdrowych zmysłach. Po opróżnieniu czwartej butli straciłem przytomność, gdyż opary zdołały jakimś cudem przeniknąć w głąb mojej maski, lecz kiedy doszedłem do siebie, stwierdziłem, że z jamy przestał już wydostawać się żółty, cuchnący dym.

Opróżnienie dwóch ostatnich butli nie wywołało żadnych widocznych skutków i po pewnym czasie uznałem, że mogę już zasypać dół. Skończyłem dobrze po zmierzchu, lecz groza dotąd obecna w tym domu gdzieś prysła. Wilgoć nie emanowała już tak silnego odoru, a osobliwe grzyby wyschły i rozpadły się w szary, nieszkodliwy, sypki pył, który jak popiół rozsypał się po klepisku. Jeden z najgorszych podziemnych koszmarów tego świata został unicestwiony raz na zawsze, jeśli natomiast istniało piekło, dusza tej bluźnierczej, demonicznej istoty z pewnością musiała trafić do jego najgłębszej, najbardziej odrażającej czeluści. Uklepując ostatnią szuflę ziemi, po raz pierwszy – i nie ostatni – zapłakałem, by w ten tak patetyczny sposób oddać hołd pamięci mego ukochanego stryja.

Wiosną roku następnego w ogrodzie na tarasie przy wymarłym domu nie wyrosły już ani blada trawa, ani niezwykłe chwasty, a wkrótce potem Carrington Harris wynajął posesję nowym lokatorom. Wciąż ma ona w sobie coś specyficznego, lecz ta niezwykłość szczerze mnie fascynuje i uczucie ulgi miesza się we mnie z nie skrywanym żalem, gdy w końcu budynek zostanie zburzony, by w miejscu tym powstał nowy butik dla snobów lub odpychająca kamienica czynszowa. Stare, dotąd nie rodzące drzewa w ogrodzie zaczęły owocować – jabłka są małe, lecz słodkie, a w ubiegłym roku, wśród poskręcanych gruzłowatych konarów po raz pierwszy uwiły gniazdo ptaki.